Ner 2. Kraków, 14go Stycznia. 1863.

ROK III.

NIEWIASTA.

Prenumerata w Krakowie wynosi:

Bez mód:

Rocznie . . 6 zł. — c. w. a.
Półrocznie . 3 „ —
Kwartalnie . 1 „ 50 „ „ „
Miesięcznie . — „ 50 „ „ „

Z Modami paryskiemi:

Rocznie . . 10 zł. 20 c. w. a.
Półrocznie . 5 „ 10 „ „ „
Kwartalnie . 2 „ 55 „ „ „
Miesięcznie . — „ 85 „ „ „

Prenumerata zamiejscowa wynosi:

Bez mód:

Rocznie . . 7 zł. 20 c. w. a.
Półrocznie . 3 „ 60 „ „ „
Kwartalnie . 1 „ 80 „ „ „

Z Modami paryskiemi:

Rocznie . . 11 zł. 40 c. w. a.
Półrocznie . 5 „ 70 „ „ „
Kwartalnie . 2 „ 85 „ „ „

„Niewiasta“ wychodzi co tydzień.

Prenumerujący za granicą Państwa austr., Królestwa Polskiego i Państwa Rosyjskiego płacą rocznie z przesyłką pocztową (bez mody) 8 zł. 30 centów wal. austr.
Nadesłane artykuły honoruje Redakcya zaraz po wydrukowaniu: arkusz druku od 20 do 50 zł. a. w. Autor sam cenę oznacza. —Rękopismów redakcya nie zwraca.
Listy i przesyłki pieniężne należy **frankowac** i adresować do **Redakcyi Niewiasty w Krakowie.**
Prenumeratę w miejscu przyjmuje nietylko Redakcya, lecz i księgarnia p. Baumgardtena, równie jak wszystkie dobrze znane Księgarnie.

WIARA I NARODOWOŚĆ,

przez

J. dra RYMARKIEWICZA,

Inspektora gimnazyum katolickiego w Poznaniu.

Nigdzie zapewne, tyle co u nas, niepowtarzano zdania tego, że narodowość ściśle z wiarą jest połączona; nigdzie może też nie widać tak jasnego i tylokrotnego splotu dwóch tych ducha ludzkiego potęg, czy to w dziejach, czy w obrzędach kościelnych, czy w instytucyach politycznych, czy nakoniec w obyczajach i zwyczajach domowych, jak u nas! Zjawisko połączenia wiary z narodowością uchodzi u nas za niezaprzeczony fakt, a orzeczenie jego za niezachwiany aksyomat wyznania narodowego.

W dzisiejszych czasach, kiedy w dziedzinie wiary niezwykły się ruch okazuje; kiedy również nieukojone narodowości zapędy powszechniejszego i wydatniejszego pojawu się dobierają, kwestya związku między wiarą a narodowością nowego interesu nabiera, i w nowem przedstawia się świetle, a przeto też na nową, gruntowniejszą zasługuje uwagę. Z bezpośredniego poczucia wypada więcjów aksyomat narodowy dziś... na stanowisko wyrozumowanego poświadczenia podźwignąć!

Potrzeba tego tem jest większa, im zgubniejszem jest zdanie modnych zbawców świata, utrzymujących, że chrystyanizm dla ludzkości już nie jest wystarczającym; im poważniejszym zdaje się być sąd historyków, którzy twierdzą, że chrześciaństwo tłumiło narodowość.

Jakoż istotnie zdawaćby się mogło na pozór, że wypadki dziejowe, mianowicie w początkach chrześciańskiego bytu narodów, jakoteż, że pojęcie samego chrześciaństwa w ogóle—wręcz są przeciwne mniemaniu wiążącemu wjedno narodowość z wiarą. U historyków już to jest prawie utartem zdaniem, że chrześciaństwo przytłumiło i zniweczyło rodzinność słowiańską tak dalece, że całe dzieje Polski, wedle nich, nie inne mają znaczenie nad to, że były bezustannem oddziaływaniem i wywikływaniem się pierwiastku narodowego z więzów, któremi go ogarniał chrześciaństwa ryczałtowy napływ.

I popierają uczeni zdanie swoje: najprzód ową zapalczywością, jaka się okazywała w walkach Słowian z Germanami, niosącymi wiarę chrześciańską, do której narody słowiańskie wstręt niewypowiedziany czuć miały. Następnie utwierdzają zdanie swoje wypadkami, które po przyjęciu wiary chrześciańskiej przez rządzców Polski, i po nałożeniu jej na naród, zaszły w Polsce za czasów Masława, kiedy sprzeczność narodowości z wiarą w najokropniejszy objawiła się sposób: w mordach, pożogach, rabunkach... tak na domach, jako i na sługach bożych dopełnionych przez lud, który wedle zdania swego rodzimo i swobodnie odetchnąć i odpocząć jedynie zdołał na zgliszczach wiary, od której tyle mniemanego ucisku i krępowania narodowości swojej doznawał! (?)

Te, mówię, fakta, a może i inne jeszcze, zdają się okazywać, że między narodowością a wiarą niema najmniejszego związku; ale że owszem jak największa zachodzi między niemi sprzeczność, kiedy nawet już w czasach niemowlęctwa tych potęg tak silny instynktowy wstręt do wiary okazywala narodowość.

Również i pojmowanie chrześciaństwa zdaje się na pozór w zupełnej stać sprzeczności z pojęciami, jakie zwykle o narodowości miewamy. Chrześciaństwo bowiem, uważając wszystkich zgoła ludzi za bliźnich, za braci, za synów jednego Ojca niebieskiego, znosi na pozór wszelkie światowe między niemi różnice i piętna; w oczach jego, bowiem, jak powiada pismo: „niema ani Greka, ani Żyda, ani męża, ani kobiety“ — tylko wszyscy są jedno w Chrystusie! Znosi więc poniekąd nietylko różnicę starożytną: niewolników i wolnych; nietylko średniowieczną różnicę stanów; ale nawet zaciera różnicę narodów i ma dążność całkiem kosmopolityczną.

Narodowość przeciwnie ma dążność ku jakowejś odrębności, ku wyznamionowaniu się jednego narodu z pomiędzy wszystkich innych na świecie, a przytem strzeże z obowiązku swego różnicy tej jak najzacięciej. Chrystyanizm, twierdzą modni teoretycy dalej, odwodzi umysł od ziemskości, nieustannie ku niebieskiemu nawodząc królestwu. Narodowość zaś niczego tak mocno, tak niezbędnie nie pragnie, jak właśnie królestwa rzeczywistego na ziemi! Jakże więc, pytają się tak wnioskśjący teoretycy, dwie tak wręcz sprzeczne potęgi mogą w nierozdzielnym ze sobą zostawać związku? Pozory zdają się mówić jak najwyraźniej przeciw takiemu węzłowi!

A tymczasem lud jak wierzył, tak wierzy głękoko w nierozdzielny węzeł wiary z narodowością. I ma słuszność, a wiara jego istotnie głębszą jest nad pozornie uczone i rozumne mniemanie mędrków!

Długoby przyszło rozwodzić się nad pojedyńczemi punktami mylności, zawartej w zdaniach powyżej przytoczonych. Powiemy tu tylko to, co do ich wywrócenia kardynalnie potrzebne.

I tak ów mniemany wstręt narodu naszego w pierwiastkach do nowej chrześciańskiej wiary... nie pochodził bynajmniej ze sprzeczności, jaka między przyrodzoną narodową istotą naszą, a wiarą chrześciańską zachodziła; lecz głównie i wyłącznie pochodził on z odrazy, jaką miał naród właśnie zawięzujący się w całość... do jarzma i panowania obecnego, które pod pozorem wiary na kark mu swobodny wtłaczano. Że tak było, a nie inaczej, nikt nie zaprzeczy. Wszakże ten sam naród, podczas, gdy bój zacięty wiódł ze zbrojnem

apostolstwem zachodu, dobrowolnie przyjmował wiarę św. od pobratymców swoich z południa. Wszakże przed zaprowadzeniem wiary chrześciańskiej przez Mieczysława wiele chrześcian, jak świadczą dzieje, już mieszkało spokojnie w Krakowie, i po innych miastach polskich, a nic przeciw nim nie podejmowano, coby jakąkolwiek cechę wstrętu lub prześladowania ich wiary nosić na sobie mogło.

Owszem doznawali chrześcianie ówcześni takiej u nas gościnności, jaka zawsze była najcelniejszą narodu naszego zaletą; jakiej doznali już za czasów Piasta owi aniołowie, o których niema prawie wątpienia, iż to byli pierwotni do Polan apostołowie chrześciańscy.

Bój zatem pierwiastkowej Polski i nienawiść jej pierwiastkowa nie przeciw wierze chrześciańskiej, która z łagodną mitologią słowiańską nic tak sprzecznego nie miała, ale raczej przeciw obczyźnie i jej żądzy podbojów był wymierzony. Za Masława zaś z tegoż samego powodu wewnątrz kraju bój przeciw ciemięztwu był ponowiony.

A jak dowody historyczne, tak i dowody niby to filozoficzne, powyżej przytoczone, również nic nie dowodzą przeciw możności ścisłego połączenia się narodowości z wiarą.

Już to najprzód, jawienie się równoczesne chrześciaństwa i narodowości na świecie za zgodnością ich nie mało przemawia. W starożytnym świecie pogańskim nie było narodowości w ścisłem tego wyrazu znaczeniu. Były tam hordy, ludy, gminy i miasta, były pokolenia i plemiona; ale żaden z tych zbiorów ludowych nie poczuwał się do osobistości, do jednolitości takiej, jaką się odznacza naród. Narodowość jest owocem samegoż chrześciaństwa. Chrześciaństwo nietylko wywołało i uświęciło godność pojedyńczego człowieka; ale nadto uzacniło i rozbudziło również wszelką osobistość na świecie: więc zatliło także i osobistość narodów. I to jest właściwe chrześciaństwa pojęcie, rozleglejsze i wznioślejsze zastósowanie jego do istoty człowieczeństwa, bo zmierza do uchrześcianienia nietylko pojedyńczych ludzi, ale także do uchrześcianienia, uświęcenia i umoralnienia osób, jakiemi są narody! Tak pojęte chrześciaństwo nietylko że kosmopolitycznie nie znosi narodowości, ale ją owszem głównie i najbardziej indywidualizuje, podnosi i uświęca, gdyż narodowość jest w większym zakresie tylko do wyższej potęgi wyniesiona osobistość ludzka.

Co się zaś tyczy królestwa ziemskiego i królestwa niebieskiego, jakoby te antypodycznie różnić miały narodowość od wiary—to takowa sprzeczność w posłannictwie narodów pojednanie swoje znajduje: Jak wiara bowiem, tak i narodowość z powołania swego tylko to posłannictwo mają, że nas ku Bogu unoszą, że nas uobyczajają porówno, i że w Bogu jedynie cel mają ostateczny. Nie są przeto i w tej mierze ze sobą sprzeczne narodowość i wiara.

Między narodowością a wiarą jest zatem połączenie; a ten węzeł rzeczywiście widoczny w dziejach, o tem nieco tu nadmienimy. *(C. d. n.)*

Krystyna,

Królowa szwedzka.

(Ciąg dalszy).

Królowa, postrzegłszy wzmagające się zamieszanie, oświadczyła, iż postanowiła zrzec się rządów. Dawni ministrowie, którym jeszcze drogą była pamięć Gustawa Adolfa, czynili królowej najżywsze przedstawienia, a Oxenstierna z taką się odezwał naprzeciw gorliwością, że królowa odstąpiła od swego zamysłu. Ujęła nawet z większą siłą i wytrwałością za ster państwa, i rozprószyła na jakiś czas chmury, tron jej otaczające. Przytem zajmowała się gorliwie naukami, skupywała malowidła, monety, rękopisma, książki, listowała z wielu uczonymi i kilku na swój dwór powołała. Deskarta, Grocyusza, Salmazyusza, Bocharta, Fosyusza, Meiboma i innych ściągnęła do Sztokholmu, i w wielorakich zostawała z nimi stosunkach. Ale królowa nie zajmowała się wyłącznie poważnemi naukami, lubiła też figlę literackie, do jakich należał taniec grecki, który z jej polecenia wykonywali Meibom i Naudé.

Lecz pokazały się nowe zamieszki, a sprzysiężenie Meseniusza już nie tylko faworytom królowej, ale i jej samej zagroziło. W trzech niższych stanach, a szczególniej między duchowieństwem wszczęła się żywa opozycya przeciw szlachcie; przyłączyła się do niej nawet sama królowa, i potajemnie rozdmuchiwała ogień, chociaż z drugiej strony mnóstwo niegodnych do stanu szlacheckiego wyniesła, a szlachtę lennemi dobrami i przywilejami obsypała. Wzmagająca się coraz bardziej niechęć ludu, i nadzieja, że jej się w cudzych krajach uda bardziej błyszczeć niż w Szwecyi — jedno i drugie znowu ją przywiodło do postanowienia zrzeczenia się korony. Zgromadziwszy 1654 r. w Upsali stany państwa, w obec nich złożyła znaki władzy królewskiej, dla oddania ich w ręce księcia Karola Gustawa. Wymówiła sobie pewne dochody, zupełną niezawisłość osoby swojej i najwyższą władzę nad całym swoim dworem. W kilka dni, po tak uczynionej abdykacyi, wyjechała i udała się przez Danią i Hamburg do Bruxelli, do której uroczysty wjazd uczyniła, i gdzie niejaki czas bawiła. Tutaj to naprzód przeszła potajemnie do religii katolickiej, którę później w Inszpruku publicznie wyznawała. Pewien niemiecki jej biograf, oczewiście protestant, sądzi, że ten krok, który według niego wiele hałasu musiał narobić, mało ją kosztował, gdyż wszystkie religie jednako ceniła. Że Krystyna jednakże szczerze przylgnęła do katolicyzmu, każą nam twierdzić niektóre okoliczności poniżej przytoczone.

Z Inszpruku udała się Krystyna do Rzymu, do którego wjechała konno w stroju amazońskim z wielką okazałością. Papież Aleksander VII dał jej przy bierzmowaniu na imie *Alessandra*. W 1658 udała się do Francyi, i bawiła to w Fontaineblau, to w Compiègne, to w Paryżu. Jakkolwiek strój i obyczaje jej nie obeszły się bez nagany, to wszelako dla talentów i wiadomości exkrólowej niebrakło sprawiedliwego uznania. Chciała się wmieszać w sprawy francuskie i hiszpańskie jako pośredniczka, ale Mazarin nietylko jej tego nie dopuścił, lecz i jej wyjazd z Francyi przyspieszyć umiał. W roku następnym odwiedziła powtórnie Francyą—i tem się na hańbę swoją popisała, że w królewskim zamku w Fontainebleau 10go listopada 1657 r. kazała wielkiego koniuszego swego, markiza Monaldeschi *) w przytomności ojca Lebela sądzić, a potem śmiercią skarać, jakoby winnego głównej zbrodni zdrady, chociaż przedtem miała w nim zupełne zaufanie. Dwór francuski wcale nie taił, że postępek ten ma za naganny, a publiczność pewnie go także nie pochwalała, kiedy królowa ledwie po kilku miesiącach ośmieliła się pokazać

*) Monaldeschi Jan, pochodził z Ascoli, udał się do Szwecyi i został za protekcyą hr. de la Gardie koniuszym królowej 1652. W następującym roku użyto go w poselstwie do Polski i do kilku mniejszych włoskich dworów. Powód, dla którego go królowa zamordować kazała, nie jest dostatecznie wyjaśnionym; pono wypłynął ze sprawy serdecznej. Po straceniu go, najmowała nabożeństwa żałobne za jego duszę.

ludziom w Paryżu. Powróciwszy 1658 do Rzymu, wcale nie miłe ze Szwecyi odbierała wiadomości. Pieniędzy jej nie dosyłano, a nikt jej nie chciał założyć. Papież Aleksander wyrwał ją z kłopotu, naznaczywszy jej 12,000 skudów jurgieltu. Po śmierci Karola Gustawa w r. 1660, króla wcale nie miłej dla nas pamięci, udała się do Szwecyi, jakoby dla uporządkowania majątkowych swoich spraw. Wnet jednakże pokazało się poco przyjechała istotnie: królewicz następca tronu był jeszcze bardzo młodym, Krystyna ogłosiła, że w razie jego śmierci tron znowu obejmie. Nie podobało się to jednakże nikomu, i zniewolono ją do podpisania formalnej abdykacyi. Opuściła Sztokholm, do którego 1666 r. znowu powróciła, lecz usłyszawszy, że jej nie dadzą publicznie wyznawać katolickiej wiary, nie dojechawszy do stolicy udała się do Hamburga. W tymże czasie miała się też starać o koronę polską; lecz na siebie uwagi wolnego narodu wcale nie zwróciła[1]). Na ostatek udała się do Rzymu, gdzie dokonała dni swoich 19go kwietnia 1689 r. wśród zajęć do nauk i sztuk pięknych odnoszących się.

Co nas bliżej obchodzić może, jest list, który królowa Krystyna pisała do króla Jana Sobieskiego, oczywiście z Rzymu do Wiednia (a raczej na Wiedeń) i który w Janinie Rubinkowskiego umieszczony z datą roku 1684, chociaż król Jan zwycięztwa pod Wiedniem dokonał już w 1683 r. d. 12go września w sobotę, a w niedzielę d. 13 września już wjazd do Wiednia odprawił „konno w asystencyi książąt, elektorów i licznej panów przednich komitywie, na podziękowanie Panu Bogu za wiktoryą, recte do kościoła ś. Szczepana, przeciw któremu obviam[2]) wyjechał graf Staremberg, komendant wiedeński“ i t. d.

Tłumaczenie listu wierne, ile możności, załączamy tutaj:

„Wielki i rzadki przedstawiłeś Wasza Królewska „Mość[3]) widok całemu światu w pamiętnym owym i „sławnym dniu. w którym niosłeś pomoc Wiedniowi. „Za ten czyn tyle waszej królewskiej mości winna sto„lica święta i cały świat, że spadł na każdego chrze„ścianina obowiązek przyklaskiwania sławie WKM. „W szczęśliwym dniu owym pokazałeś się WKM go„dnym nietylko państwa polskiego (nad którem zwierz„chnictwo Bóg WKM. dał); ale zasłużyłeś WKM. na ob„jęcie rządów nad całym światem, gdyby je przezna„czyły były nieba jednemu tylko władcy. Radabym ja „bardzo wyraziła WKM. moje osobiste uczucia, i pewną „jestem, jak to niezawodnie jasno WKM. widzieć mo„żesz, że nikt nieoddaje sprawiedliwości zupełniej ode „mnie sławie i zasługom WKM. Mogę to rzec śmiało, „i szczycę się tem, że nikt odemnie lepiej nie poznaje „się na cenie tego zwycięztwa, i nikt lepiej nie dostrzega „wagi tak odszczególniającego się czynu; nikt dokładniej „z tak wiekiego zwycięztwa WKM. nad potęgą Azyi od„niesionego wypływających następstw nie widzi. Jaśniej „poznawszy od innych nasze niebezpieczeństwo, bar„dziej się też lękałam upadku i zniszczenia, którémi „nam owa straszna zagroziła potęga, nad którą podo„bało się Bogu tryumfować za użyciem heroicznego „męztwa WKM., któremu po Bogu wszyscy inni króló„wie w potomnych czasach całość królestw swoich mają „do zawdzięczenia. Ja zaś, dzisiaj państwa żadnego już „nie posiadając, wyznaję, iżem winną jest wdzięczność „za zachowanie mojej niezawisłości, mego pokoju, co „nad wszystkie królestwa świata tego cenię. Przede„wszystkiem czuję potrzebę wyznania wdzięcznego uspo„sobienia mego dla tak wielkiego króla, jakim jesteś „WKM., a które ztąd się wzięło, iż jestem pod naci„skiem zazdrości, której, jako mnie zupełnie nowej na„miętności, uciszyć nie mogę. Nigdy w życiu żadnemu „śmiertelnikowi nie zazdrościłam, sam WKM. stałeś się „celem zazdrości mojej; radabym przecież, abyś WKM. „wiedział, jaka właściwie jest moja zazdrość: że w ser„cu mojem obudza cześć i podziwienie, powinne WKM. „Nie zazdroszczę państwa, ani skarbów i zdobyczy, do „których Bóg przyjść dozwolił; ale zazdroszczę WKM. „niewygód i niebezpieczeństw, zazdroszczę nazwy oswo„bodziciela chrześciaństwa; także zazdroszczę rozkoszy, „iż godzi się WKM. zwać dawcą życia i wolności tak „przyjaciołom jak nieprzyjaciołom, kiedyś WKM. jednym „i drugim oboje ubezpieczył. Jednakże ta moja zazdrość „tyle się przyczyniła do wzrostu sławy WKM., że rze„kłabym, iżby mi wiele brakło, gdybym owego uczucia „niezuała. Jakkolwiekbądź spodziewam się zyskać łaska„we przebaczenie WKM.—Bóg zastępów, który jest jedy„ną nagrodą i zapłatą dzieł heroicznych i sławnych, na„grodziciel WKM. niechaj na tym świecie WKM chowa „w szczęściu i pomyślności za sławę kościoła katoli„ckiego, i uległość temuż ukazaną; niechaj da, abyś „WKM. zawsze tryumfował nad wszystkiemi nieprzyja„ciołmi swemi. A teraz proszę, niechaj WKM. za wdzię„czne przyjmie moje najszczersze i najżyczliwsze uczu„cia, z któremi jestem“ i t. d. *(D. n.)*

[1]) Po abdykacyi Jana Kazimierza.

[2]) Naprzeciw.

[3]) W oryginale stoi wszędzie „Majestas Vestra.“

TRZY ŁZY.

Miałem sen dziwny, bolesny,
Dotąd mi w sercu jeszcze tkwi,
Ach śniłem, że zgon wczesny
Rozerwał wieniec moich dni...

Leżałem w swym cichym grobie,
Ponury otoczył mnie świat,
Mogiłęm dźwigał na sobie,
A na mogile mej rósł kwiat...

Ukląkł nad świeżą mogiłą,
Gdzie mój spoczywał zimny trup,
Druh mój... i—tak mi się śniło—
Łza z oka mu spadła na grób...

Ciepło mnie jakieś owiało,
I lekko zadrzała mi dłoń...
Lecz ciało martwem zostało,
Choć druha łza dotarła doń...

Potem nadeszła jedyna—
„Kochanku, z grobu ach wstań!...“
I łzę spłakała dziewczyna
W litości, wśród jęków i łkań...

Na serce moje łza spadła,
Bogini cudnych mych snów,
Pierś siła życia owładła,
Lecz zgniótł ją śmierci ołów znów...

Potem nadeszła i matka,
I z płaczem upadła na grób...
Z oczu zlatuje mi siatka,
I dziwo!... porusza się trup!...

Łza jej przez grób się przebiła,
Rozkwita w łonie życia raj,
Silna się dusza zbudziła,
I... śmierci opuściłem kraj!... Ł.*

NA MORZU.

Z najnowszych podróży.

(Ciąg dalszy).

III.

Morze było niespokojne. Jonasz nie płynął w jednym ustalonym kierunku, ale ciągle prawie przemykał się to tędy to owędy na tej w wieloryby najbogatszej przestrzeni.

Przededniem nieco rozmawiali majtkowie będący na straży między sobą. Rozmowa toczyła się oczywiście o zdarzeniach dnia wczorajszego.

— Wszakże to dobrze! — mówił stary majtek — ale kapitan powinien był trupa tamtego nie zostawiać tak na pastwę fali, ale pochować, jak należy, spuszczonego przyzwoicie z kulą przy nogach aż do głębi morza.

— Zobaczycie! — dodał drugi majtek rodem z Irlandyi, kraju wszelkich zabobonów—że ten trup będzie nas ciągle prześladował, i nie przepuści nas wcale.

— Nasz kapitan nie wierzy ani w Boga, ani w dyabła!... A wiecie wy żeśmy wyruszyli z portu w sam piątek...

— A przecież zbladł, czy pamiętacie? gdyśmy do mosza rzucili jego kota czarnego, co nam zawsze do misek naszych brudne łapy pakował.

— Ba! trzeba przecież w coś wierzyć! — ozwał się majtek najmłodszy w towarzystwie.—Tyle jest tajemnic między niebem a ziemią!.... a ile ich jest w głębi morza!...

— Ty uczony niby!... młody majtku!... — ozwał się na to stary brodaty majtek najsławniejszy z łowców wielorybowych. — Niedawno zapewne porzuciłeś ławy szkolne!... powiedz że mi dla czego dosyć jest rzucić przed okrętem starą miotłę, albo stary pantofel, aby przemienić wiatr najprzychylniejszy na zupełnie przeciwny?...

— I dlaczego nie godzi się strzelać do tych małych ptasząt czarnych, co jednem skrzydłem muskają morską powierzchnię — bo niezawodnie zdarzy się jakieś nieszczęście w okręcie.

Dniało tymczasem coraz więcej, i coraz jaśniejsze po morzu rozchodziły się smugi światła.

— A niech mnie!... — zakrzyknął Irlandczyk, bledniejąc okropnie. — Otóż i on!...

Majtkowie rzucili się na brzeg statku, i ujrzeli w rzeczy samej trupa tego samego, fale tuż przed statkiem kołysały.

— Trzeba dostać żerdzi z hakiem! — przemówił najstarszy marynarz — złapać trupa, i przyczepić mu kamień do szyi, by przecież zatonął. Ty młody!... pobiegnij do pana James, i proś go o wydanie żerdzi i kamienia.

Młody oficer znał majtków, i wiedział, że mają niektóre przesądne wyobrażenia, których im nikt z głowy wybić nie zdoła. Przystał więc na ich żądanie, i majtkowie przynieśli wkrótce i żerdź i kilka ciężkich kamieni.

— No!... — mówił stary marynarz dalej — kto się weźmie do dzieła?....

— Bierz się sam!... — odpowiedzieli mu drudzy.

— Ba!... ja tu jestem do wielorybów, ale nie do trupów; słuchaj ty młody nowicyuszu! to twoja rzecz.

Młody majtek, choć mu rzecz ta cała nie była do smaku, zabrał się do dzieła, i siadłszy na samej krawędzi okrętu, jakby na koniu, wyciągnął długą żerdź, by hakiem uchwycić trupa. W tej chwili mocniejsza podniosła się fala, i trup, nią porwany, podniósł się—jak by stał na tle wody i w ramy wodne ujęty. I fala niosła go wprost na okręt, jakby tam chciał zmarły się dostać. A w górze jeden z tych większych sępów morskich zwietrzywszy snać niego, coraz niższemi krążąc kołami, zbliżył się aż do trupa, i ponury wydając krzyk, uderzył w czoło jego ciemnemi skrzydłami. Nowicyusz przerażony wypuścił żerdź z ręki, a drudzy majtkowie patrzali na tę scenę z wyrazem przestrachu na twarzach ogorzałych; wiatr powiał silniejszy, aż liny i żagle jękliwem zadrżały stęknieniem.

— Cóż to!... — zawołał nagle kapitan Robinson — już dzień, a nikogo niema tam jeszcze w górze na strażnicy?...

W tej chwili dostrzegł trupa i sępa...

— Ty mały!... podaj mi mój karabinek.

I przyłożył podany karabin; przez chwilę celował krążącego sępa, i rozszedł się huk strzału. Kula porwała kilka tylko piór z szyi ptaka, i trafiła kołyszącego się trupa w samą twarz martwą i pozieleniałą.

— To okropnie!... — mruknął mimowolnie młody oficer.

— Ba!... — rzekł kapitan. — Biedak ten nie uczuł już tego. Panie James! czy nie widać tam żadnych żagli?...

— Nie widać dotąd! — odpowiedział oficer.

A majtkowie stali w milczeniu, ale na wszystkich twarzach widoczny był wyraz przestrachu i niezwykłego przerażenia.

— Dalej więc na południe będziem żeglować!... — mówił kapitan dalej. — Gdybyśmy zdybali statek jaki, powierzyłbym mu te dwie kobiety cośmy je wyratowali. Lecz sam nie mogę ani się wracać, ani kręcić na jednem miejscu. Pora i tak już spóźniona, a wieloryby tam!... ku południowi!...

Wiatr powiał pomyślny, wszystkie rozpuszczono żagle, i statek lekko a szybko postępował naprzód, zostawiając za sobą kołyszącego się na falach trupa, który malał coraz więcej, aż wreszcie patrzącym z przerażeniem majtkom wydał się z dala białym jeno punkcikiem na ciemnem tle morza.

Młoda Hiszpanka, chociaż bardzo jeszcze osłabiona, wywlokła się przecie z łóżka, i oparta na ramieniu murzynki wyszła powoli na pokład, by świeżem odetchnąć powietrzem. Otulona w miękki płaszcz futrzany, który jej dał kapitan, usiadła w najdalszym kąciku. Ślicznie i dziwnie wyglądała ta młoda i blada dziewczyna o rysach pięknych i delikatnych, a dumnych i szlachetnych, z temi oczyma ciemnemi, co je długie rzęsy przysłaniały; z temi rączkami małemi, strojnemi w mnogie świecące drogiemi kamieniami pierścienie; a w koło niej otoczenie tak niestósowne; tło zimne i mgliste, smutne i ponure. Drżała biedna dziewczyna do słońca przyzwyczajona, i darmo tęsknem spojrzeniem swojem śledziła za promieńmi temi złotemi i ożywczemi, do których była przyzwyczajona w ojczystej ziemi. Majtkowie, marynarze, starzy i młodzi stali opodal skupieni razem, i z ciekawością przypatrywali się dziewczynie, jakby zdziwieni widokiem tak niezwykłym. Młody oficer patrzał na nią z uszanowaniem i nieśmiałością, i mimowolnie przywodził sobie na pamięć, jak w chwili ratunku trzymał w swej dłoni małą jej rączkę, która go konwulsyjnie wówczas ściskała.

— Zimno pani! — ozwał się kapitan. — Siadaj pani tu, gdzie będziesz więcej od wiatru zasłoniona. I rozkazał przynieść poduszki i zrobić z nich wygodne siedzenie dla bladej dziewczyny. Chwil kilka patrzał na nią kapitan, nie rzekłszy ani słowa. Może w tej chwili serce zatwardziałego żeglarza, przyzwyczajonego do walki z potworami morskiemi, rozczuliło się na widok tej ślicznej dziewczynki ze spuszczoną głową, drżącej jakby ptaszek zawcześnie wyrwany z gniazdeczka swego. Może go poruszył ten urok tajemny, jaki nadaje biednemu bezbronnemu, opuszczonemu stworzeniu, przyzwyczajonemu do spokojnych rozkoszy życia rodzinnego, wspomnienie niebezpieczeństw przebytych. Kapitan Robinson był już starym żeglarzem, choć miał lat ledwie czterdzieści, ale są zawody, w których człowiek starzeje się przed czasem. Do takich należy zawód marynarski, to też bujne i ciemne włosy kapitana były już tu i owdzie posrebrzone, a twarz ogorzałą pokrywały przedwczesne a głębokie zmarszczki.

— Podaj kawę!... — zawołał wreszcie na młodego majtka, i ręką kilka razy przeciągnął przez czoło szerokie, jakby chciał odpędzić myśli jakie naprzykrzone.

Podano kawę; Izabella połknęła kilka łyżeczek, i... patrząc ciągle na okiem niezmierzone fale Oceanu, przemówiła wreszcie.

— Panie! gdzie my teraz jesteśmy?...

— W stronach połowu wielorybów!...

— I gdzież płyniemy?...

— Za połowem. Pora już spóźniona; radbym jak najprędzej zapełnić mój statek.

— O mój Boże! — smutnym zawołała głosem. — Pan który jesteś tak dobry! tak ludzki, i wyratowałeś nam życie, czyż nie będziesz tak szlachetny, by nas zawieść na miejsce naszego przeznaczenia.

— Nadaremnie patrzałem w około przez najlepsze szkła moje!... nigdzie niewidzę statku żeglującego na wschód, któremubym cię mógł pani powierzyć. Miej pani cierpliwość; ja cię pani!... odprowadzę na brzegi Kolumbii.

— I znowu wracać będę przez te same okropne lodowe przestrzenie!

— Ja po nich żeglowałem dwadzieścia razy w każdej porze roku — odpowiedział kapitan. — Dawniej pełno tu było wielorybów, ale teraz trzeba ich szukać niżej, tam ku południowi. Ja lubię te przestrzenie. Jak mówię, przebyłem je razy dwadzieścia, bez najmniejszego wypadku. Przy jakiej takiej ostrożności można uniknąć gór lodowych, a burzom?... śmiałe stawia się czoło. Oddalającemu się ztąd, by ku brazylijskim popłynąć brzegom, spełznie na niczem cała moja wyprawa na wieloryby; przyjdzie zima, a z nią noc nieskończona, i zimno które w południe zmrozi ludzi moich. I czyliż ci tu źle pani?... Oddałem na twoje rozkazy, co tylko mam najlepszego, najkosztowniejszego i najwygodniejszego.

— Wieloryby na przedzie! — zawołał majtek na straźnicy.

Na ten głos kapitan Robinson zerwał się, jakby sprężyną porurzony; oko jego zabłysło zapałem.

— Miej się pani na ostrożności!... będą spuszczać czółna do morza.

— Wieloryby z tyłu i na boku!... — krzyknął drugi majtek.

Marynarze i majtkowie rzucili się tłumnie na pokład; ruch na nim był ogromny. Izabella pospieszyła, jak mogła, do swej kajuty. Murzynka, odprowadzając panienkę swą, zwracała się razy kilka, by gniewnem spojrzeniem zmierzyć kapitana. Ona pojąć nie mogła, by się kto mógł oprzeć życzeniom jej panienki.

— Gdyby na tym okręcie — mruczała sama do siebie, — dowodził ten młody oficer, blondyn, z niebieskiemi oczyma, co go Jamesem zowią, inaczej by się z nami obchodzono.

Dzień cały trwała pogoń za wielorybami. Wszystkie czółna okrętowe rozpierzchły się po morzu w rozmaitych kierunkach. Niejeden dziryt utkwił w grzbiecie potworów, których krew pobarwiła popienione fale. W koło statku prawdziwa i gorąca toczyła się walka, ale opór potworów był tym razem równie zapalczywy. Kapitan Robinson stał z początku na pokładzie, i tylko przez szkła przypatrywał się walce; lecz wkrótce przemógł zapał starego marynarza, i sam skoczył do czółna, by być czynnym walki uczestnikiem. Sam wszędzie na przedzie, z włosami na wiatr puszczonemi, zagrzewał głosem i ruchem rąk ludzi swych do walki. Wieloryby tego dnia opierały się z niesłychaną wściekłością. Ledwie ranione, zanurzały się w morze aż do niezwykłej głębi, a wracając w górę rzucały się jak szalone na około. Kilka razy trzeba było odciąć liny, i z czółnami uciekać. Jedno z nich nawet, to właśnie, na którem się znajdował kapitan Robinson, uderzone gwałtownie ogonem jednego potworu, rozleciało się na dwie części. Inne czółno pospieszyło z pomocą; kapitan został wyratowany, ale dwóch majtków utonęło. Wyprawa tego dnia, co tak wiele obiecywała, skończyła się ułowieniem jednego wieloryba średniej wielkości.

— Oto już pierwsze nieszczęście! — mruczeli między sobą wracający łowcy wielorybów.

— Daj Boże! by się na tem jednem skończyło!... — mówił jeden z pomiędzy nich. Kapitan wywinął się tym razem; wieloryb brał się do niego widocznie.

Przebrawszy się kapitan Robinson, kazał rozdać majtkom podwójną porcyę rumu, by nie zostawiać podwładnych pod wpływem smutnych myśli, jakie mogło wzbudzać dzisiejsze niepowodzenie. Sam nawet udawał wesołego.

— Moi przyjaciele! — mówił do nich — nie traćmy odwagi. Jutro powiodę was na nowe walki. Wieloryby nas otaczają, i mimo całego oporu zrobimy suty połów.

Krótka ta przemowa nie rozegrzała wcale odwagi majtków, którzy tracili coraz więcej zaufanie w własne szczęście. Kapitan, z chmurą na czole, zeszedł do kajuty, gdzie Izabella przestraszona ruchem i stukiem, jaki się nad nią odbywał na pokładzie, siedziała nieruchomo trzymając głowę w małych rączkach swoich.

— I cóż pani! — przemówił kapitan, przymuszając się do uśmiechu; — jesteś przelękniona!... huk ten niepokoi ciebie. Pani niewie, że my stoczaliśmy przed chwilą walną bitwę z potworami mórskimi. Jesteśmy w stronie do połowu najdogodniejszej. Jeszcze dni ośm, a mój statek będzie pełny. Wieloryby się dzielnie bronią; to prawda!... ale to główna, zdybać się z niemi. Słuchaj pani.... jak tylko okręt mój napełnię zdobyczą, wrócę, i popłynę ku brazylijskim brzegom!... Za dni ośm!... tylko ośm dni daruj mi pani!... Aby ci pani zimno nie dokuczało, każ napalić na tym kominku, i będzie ci ciepło jak pod słońcem twojem. Otwórz pani tę skrzynkę, są tam szale indyjskie! .. niemi obwiń nogi swoje!... Ja bym rad tu pani stworzyć małą kapliczkę, jakie Chińczyki mają po domach swoich, dla swoich bóstw domowych. Widzisz pani, że jestem na twoje usługi, i rad ci będę posłusznym choćby to mnie nie mało kosztować miało. Jeszcze dni ośm, a popłyniem do twej ciepłej ojczyzny.

— Czy to prawda przynajmniej?... — przerwała stara Murzynka.

— Słowo honoru!... — odpowiedział kapitan — jeszcze dni ośm, i wracać będę z podwójnym tryumfem, bo z niemałą zdobyczą, i...

— Z wyratowaną biedną dziewczyną bez opieki, której życie od pana zależy!... — rzekła Izabella z lekkim uśmiechem.

— Nie pani!... powiedz raczej!... z szlachetnem i uroczem stworzeniem, które przeznaczenie rzuciło na pokład mego okrętu, aby pocieszyć kilką jasnemi chwilami to moje życie ciężkie i bezbarwne. Gdy pani wrócisz do ojca swego—z drzeniem, z strachem tylko wspominać będziesz o czasie przepędzonym tutaj. Pójdziesz pani za jakiego młodzieńca pięknego, bogatego, i na łonie rodziny zapomnisz tych kilka dni przymuszonej niewoli. Odrzucisz precz od siebie pamięć tych chwil kilku, które dla mnie zostaną najmilszem wspomnieniem.

Na samę myśl, że zobaczą kraj rodzinny, i to cudne a gorące słońce, do którego przywykły, obie kobiety rzewnie zapłakały.

— Ja twoje pani serce chciałem rozweselić — mówił kapitan dalej — a ty płaczesz!... Może zanadto, może co złego powiedziałem?... Pani nie znasz życia naszego!... całe dnie, tygodnie i miesiące przechodzą nam bez wszelkiej myśli, bez wszelkiego uczucia!... Wieczna walka z żywiołami, z krnąbrnością podwładnych! to życie nasze, życie codzienne, w którem się hartujemy, by stać się nieczułymi na wszelkie słodsze wrażenia. I w tem życiu znajdujemy urok niepospolity, aż do dnia, w którym łyskawicą zalśni nam inne spokojniejsze życie, w chwilach złotych promienistych. Wierz mi pani! w głębi serc, na pozór najzimniejszych, nie jedna spoczywa słabość, nie jeden pociąg ku czemuś nieznane mu!... Źródło łez ukrywa się często pod marmurem i granitem!...

Nagle zamilkł kapitan, jakby mu brakło głosu—i dopiero po chwili dodał:

— Rozgadałem się jak stara baba!... Ja chciałem pani po prostu powiedzieć: miej odwagę i cierpliwość! a sam cię oddam całą i bezpieczną w ręce twego ojca.

— Bóg cię słyszy! — odrzekła dziewczyna — i błogosławić ci będzie.

— Jeszcze jedno! — mówił kapitan, wracając od drzwi kajuty. Przez całą noc smażyć będą ciało wieloryba. Aby zagłuszyć ten smród tłuszczu nieprzyjemny, chciej pani otworzyć ten mały kuferek, który tu jest koło pani: jest tam zbiór najcudniejszych woni!..... Mój statek, który jest stałem mieszkaniem mojem od lat piętnastu, zawiera więcej kosztowności, niżby się kto mógł spodziewać.

IV.

— Jaki nasz kierunek na jutro?... — zapytał młody oficer swego kapitana.

— Na południe!... zawsze na południe! dopóki nas niosą tam same wiatry, i pora roku nie tak bardzo pocieszna. Skończymy nasz połów, choćbyśmy mieli dostać się do samego bieguna.

Młody oficer, usłyszawszy te słowa wyrzeczone z pewnym przyciskiem, spojrzał na kapitana, i ujrzał z nie małem zadziwieniem wyraz szczególnego zapału na jego zwykle zimnej twarzy.

— Tak jest na południe!.. Spodziewam się okręt mój zapełnić przed piętnastu dniami. Wieloryby są przed nami!... ja będę je gonić, i dogonię koniecznie.

Okręt płynął zatem na południe prosto, zbliżając się coraz więcej do tych stron zimnych i niegościnnych, które otaczają biegun południowy. Nazajutrz zaczął padać śnieg na pół zmarznięty; na drugi dzień nagromadziły się grube i ciężkie, a czarne chmury, i sypnął się z nich grad rzęsisty, dziurawiąc morze jakby strzałami karabinowemi. Zimno nie było jeszcze nadzwyczaj ostre, ale morze, poruszone silnemi jesiennego wiatru podmuchami, falowało się coraz gwałtowniej. Niebo przybierało tę postać i barwę smutną i ponurą, a groźną, jaką się zwykle obleka w tych dzikich stronach, do których człowiek pewnie by nie dążył nigdy, gdyby nie jego umysł awanturniczy i nienasycona żądza zysku. Jonasz gonił pędem nadzwyczajnym. Zdawać się mogło prawdziwie, że go ciągną za sobą te ogromne wieloryby, całemi stadami umykając naprzód. Dla morza, nadzwyczaj poruszonego, walka z niemi była niepodobną. I ciągle goniły przodem z dziwną zgrabnością przemykając się pomiędzy olbrzymio popiętrzone fale morskie; słupy wodotryskowe, wznoszące się z ich czoła do góry, były jakby drogoskazami dla okrętu lecącego szalonym pędem naprzód.

Oparty o maszt kapitan patrzał niecierpliwie przed siebie.

— To zwierzyna, którę długo gonić będziemy, — ozwał się młody oficer.

— Jonasz ma długie nogi! — odpowiedział krótko kapitan.

— Zapewne!... przebiegł on więcej tysiąców mil, niżeli ja mam lat. Ale rzutne ruchy tych potworów zwiastują nam burzę. Płynąc ciągle na południe, dopłyniem wreszcie do lodów biegunowych.

— Ja moje polowanie skończę przed końcem tej pory roku. Jeszcze z pół tuzina tych potworów, a okręt mój będzie zapełniony.

(Dok. nast.)

Rzecz Artystyczna.

TEATR.

W zeszłym tygodniu prócz zwykłych przedstawień, mieliśmy dwa jeszcze występy p. *Jasińskiego* z Warszawy, i dwa koncerta na skrzypcach pana *Miski Hausera.* Zacznijmy od zwykłych przedstawień. Odegrano najprzód dramat z francuskiego tłumaczony p. t.: *Biedna z gór.* Jest to sztuka dobrze już ograna a częstego ogrywania wcale nie warta. Jest w niej trocha wystawy — a powinno być znacznie więcej — bo na scenie chatę w górach alpejskich, gdzie biedna dziewczyna z gór z powierzoną sobie trzodą zimować musi, zasypuje lawina śniegowa — jak u nas, nie spadająca ze szczytu, ale podskakująca z dołu. To zasypanie śniegiem stanowi główne dramatu zawiązanie, bo w tej chacie wraz z dziewczyną biedną zasypanym został młody człowiek przypadkiem tam zabłąkany. Pobyt trzymiesięczny w tej chacie rodzi miłość, ztąd intryga, bo młodzieniec ma inną kochankę, aż wreszcie kończy się wszystko jak najlepiej. Dramat cały jest nadzwyczajnie monotonny; po dwóch aktach ciągłej expozycyjnej gadaniny, następują trzy akty płaczliwe. Do monotonności to się najwięcej jeszcze przykłada, że wszyscy działający w tym dramacie są szczególnie poczciwi ludzie. A przecież mimo to dramat ma swoją stronę — pocieszne niemoralną — bo ciągła jest mowa, i ciągły przycisk intrygi, na tem czy biedna dziewczyna jest uwiedziona czy nie?... Ten sekret autor zachował do końca, bo tocząca się w koło tego intryga spoczywa właściwie na dwuznaczności pewnej, prawdziwego interesu nie mającej. Ale się kończy zawsze dobrze, bo czy uwiedziona czy nie, idzie za tego, którego kocha, z którym przebyła owe samotne trzy miesiące na alpejskiej połoninie wśród zasp śniegowych. Wszystkie też charaktery osób

działających miękko zakreślone. Najdobitniejsza postać biednej dziewczyny jest dosyć bierna i płaczliwa. Pna *Biedrońska*, która tę rolę odegrała, potrafiła i w nią wlać to uczucie, które jest właściwą treścią i charakterem jej pięknego talentu, przez co się rola ta znacznie ożywiła. Jej tylko gra może utrzymać jeszcze ten dramat, co cała uznała publiczność, przyklaskując artystce jak najszczerzej.

Przedstawiano jeszcze trzechaktowy dramat *Chłop*. Jest to smutny i przerażający obraz stosunków, które szczęściem już przeminęły; czasu, w którem część społeczeństwa — jak je zowią — wyższego, nie chciała się pogodzić z tą myślą, że chłop jest takim człowiekiem jak i drudzy wysoce i bogato urodzeni. W dramacie tym jest prawda, są sceny jakby odfotografowane z życia niedawnego, a przecież robi on tak przykre wrażenie, jakby akord nie fałszywy, ale do całości muzycznej niestósowny. Dramat ten dzisiaj przypomina zanadto świeże a okropne rany, by mógł być z przyjemnością słuchany. Jest zupełne zatem prawdopodobieństwo, że taki człowiek dobrze wychowany, i wykształcony, dla tego że był chłopem, mógł być przegranym w karty jako jedna dusza, własność dziedzica i to tylko w....; ale jesteśmy tego zdania przecie, że dyrekcya mogłaby unikać takich drażliwych przypomnień. Dramat ten — śmiało powiedzieć możemy — został bardzo dobrze odegrany w swej całości. Rolę chłopa oddał p. *Królikowski* po mistrzowsku; scenę kończącą akt drugi podniósł do wysokiej tragiczności. Panna *Safir* jako *aktorka*, niektóre chwile oddała z życiem.

Tego samego wieczora odegraną została po raz trzeci wesoła operetka: *Wesele przy latarniach*. W ogóle przedstawienie to nie różniło się od poprzedzających. Po słuszności wszakże przyznać trzeba, że tym razem p. *Benda* bardzo starannie i gładko odegrał i odśpiewał swoją rolę.

Wspomnieć jeszcze trzeba sztuki odegrane przy koncertach p. Hausera. Przy pierwszym grano *Zemstę Fredry*. Znane jest wszystkim to arcydzieło naszego *Moliera*. Tyle razy odegrane, zajmie, podoba się i rozweseli zawsze. Przyznać potrzeba, że główne role mianowicie były odegrane wyśmienicie. *Raptusiewicza* oddał p. *Królikowski* z całą żywością bundziuczną szlachcica. P. *Krajewski* w roli *rejenta Milczka* był wyborny. Od początku do końca umiał dobrze zachować charakter swojej roli. *Papkina* oddał także p. *Delchau* z całą werwą komiczną, i grał nawet tym razem żywiej niż zwykle. Przy drugim koncercie, prócz *Podstępu p. kapitana*, doskonale znanego, który też zawsze wypada bardzo dobrze, odegrano jeszcze *Mizantropa i druciarza* niemniej dobrze znaną krotochwilę, o której też wspominamy dla tego tylko, by oddać słuszną pochwałę panu *Janowskiemu*, który, słowaka węgierskiego, druciarza oddaje doskonale; gra on w tej roli z wielką naturalnością i niezrównanym humorem.

P. *Jasiński* występował tedy, jak mówiliśmy dwa razy jeszcze. Najprzód w dwóch sztukach jednego wieczora odegranych: w dramacie: *Pojedynek*, i w komedyi: *Małżeństwo z rozkazu*. Pojedynek, dramat francuski tej samej treści co znana opera: Marya de Rohan, jak zwykle u Francuzów spoczywa na niklej bardzo intrydze, i kilku feyerwerkowych *coups de theatre*. Mimo scen kilku prawdziwie tragicznych i skreślonych z dramatyczną zgrabnością, dramat ten prawdziwego nie budzi zajęcia, i nie należy wcale do wielkich kosztowności repertuarowych. Ale że to jest tłumaczenie samego p. Jasińskiego, więc je przez grzeczność dyrekcya wydobyła z zapomnienia. Równie też przez kortuazyę tutejszy dyrektor p. Pfeiffer odstąpił dyrektorowi warszawskiemu swojej roli: Bernarda, starego wojaka, w *Małżeństwie z rozkazu*. Po raz nareszcie ostatni (jak stało na afiszu) występował p. Jasiński jako *Robin* w *Pamiętnikach szatana*. Po tych występach niemożemy tylko powtórzyć, cośmy już powiedzieli po występach poprzednich, że p. Jasiński prócz niezaprzeczonego talentu do ról charakterystycznych, a mianowicie wielkiej rutyny wyrobionej w najrozmaitszych kierunkach, odznacza się szczególną żywością zadziwiającą prawdziwie w jego wieku. Lecz wiek ma swoje granice, których przekroczyć niepodobna, i wymagania, których mistrz największy ominąć nie może. I dla tego najmniej się nam podobał p. Jasiński w Robinie, mimo, że użył całej swej żywości i całej rutyny, aby zamaskować wiek. Toż samo było i w Pojedynku, chociaż tam mniej uderzała niestósowność wieku w scenach mianowicie ostatnich, których tragiczność, oddając zazdrość męża, oddał artysta tak charakterystycznie i naturalnie, że żaden z widzów nie zastanawiał się pewnie nad wiekiem grającego. Najlepiej wszakże podobał się nam w roli starego żołnierza przywiązanego do swego pułkownika. Tam poznaliśmy prawdziwego artystę, grającego nietylko słowami swej roli, nietylko przepisanemi w niej gestami, ale korzystającego z każdego pół słówka, pół ruchu, by nim odcieniować jeszcze dobitniej charakterystykę roli. W tem właśnie jest to wyższe poczucie i pojęcie artystyczne. Tego już nie nada sama nauka: bo — jeżeli się można tak wyrazić — w takich chwilach przemawia natchnienie artystyczne. Szkoda zaprawdę, że repertuar pana Jasińskiego jest ograniczony na same mniejszej wagi sztuki, mocno u nas ograne, które nawet w innym razie publiczność nie z wielką przyjmowałaby ochotą. Dodamy jeszcze, że przedstawienie Pamiętników szatana było słabe. Pna *Safir* grała — że się tak wyrazimy — pańszczyźnianym sposobem, bez życia; byle się roli pozbyć. Pani *Bendowa*, prócz nieznośnej deklamacyi, ten jeszcze ma zwyczaj, że roli swej rzadko się nauczy. W tej sztuce były z tego powodu pauzy minutowe. Jest to wielce naganne lekceważenie publiczności.

A więc słów jeszcze kilka powiedzieć nam wypada o koncertach p. Hausera. Zdolniejszym piórom prawdziwych znawców zostawiamy rozbiór obszerniejszy strony muzykalnej, my poprzestaniemy na ogólnej charakterystyce talentu tego artysty, jakim się nam wydał z ogólniejszego stanowiska. Dzisiaj w ogóle muzyka na inne przeszła drogi, dzisiaj w wykonaniu muzycznem na jakimkolwiek instrumencie przeważa strona techniczna. Dziś artystostwo opiera się głównie na ćwiczeniu się w tej technice. Zabaczając duszę muzyki, przyuczają jej ciało do ćwiczeń zaprawdę gimnastycznych. Jakoż te wszystkie świstania, gwizdania niby ptaszkowe, te salta mortale arpegiowe, i flażeoletowe majstersztyki, stanowią zdaniem naszem sztuki łamane, kuglarstwo muzyczne. Smutna to rzecz, ale prawdziwa. Gra skrzypcowa, wielka, pełna, klasyczna, co zdało się nie ze strun ale z duszy płynęła do duszy prosto — gra ta zginęła wraz z ostatnim prawdziwym mistrzem Lipińskim Karolem; dziś już nie usłyszysz owych poważnych a rzewnych pociągnień smyczka, któremi Lipiński tak czarował, że prawdziwą wydać się musiała bajka mitologiczna o Orfeuszu poruszającym martwe kamienie. Tam płynęły tony nieskończone zda się, bo z ziemi do nieba i na odwrót sięgające; teraz skaczą i koziołki przewracają jakieś urywane nuty, nito ogniki fałszywe, lub nocne larwy. P Hauser należy do tej nowszej szkoły, i ma technikę wyrobioną aż do zadziwienia. Przyznać mu wszakże musimy, że odzywa się w grze jego pewna rzewność uczuciowa, dowodząca, że mógł stanąć daleko

wyżej, gdyby się przerzucił na stronę klasyczną, i gdyby się mógł oprzeć temu koniecznemu pociągowi do łamanych sztuk, który już dziś stał się obowiązkiem koncercistów, bo się doń przyzwyczaiły wszystkie publiczności, czekające na nowe kunsztyki muzyczne. Smutna to — powtarzamy — prawda, która się podobno sprawdza nie w samej tylko sztuce muzycznej... Dawne starożytne *piękno* sztuki stało się już *mitem* podobno

Marek Jakimowski,

i piękna jego Kasia.

—

(Nic nad swoje).

Przypowieść.

Niedarmo Jan Kochanowski w śpiewie swym rzekł: *na tym biednym świecie wszystko się dziwnie plecie.* Uznamy te jego słowa za tem dobitniejszy wyraz doświadczonej po wielekrotnie prawdy, gdy je ściągniemy do nas samych, którzy w całym ciągu dziejów stanowimy uderzający obraz wyjątkowości pośród wszystkich a wszystkich narodów. Wyjątkowość nasza daje się postrzegać nietylko w urządzeniach naszych politycznych, nietylko w prawodawstwie naszem, w naszych zwyczajach i obyczajach, ale i w naszej literaturze, która bardziej, niż co, odwzorowuje wnętrzne życie każdego narodu — a u nas do zewnętrznego ma się nieledwie w odwrotnym stosunku, bo myśmy byli naprzód i przedewszystkiem narodem, którym i dzisiaj być nieprzestaliśmy — a dopiero potem państwem. Zwróćmy tylko uwagę na ruchliwość żywota naszych przodków i na ledwie nie zupełny brak rodzimych (oryginalnych) dramatów; zwróćmy jeszcze uwagę na niezliczone prawie mnóstwo awanturniczych losów, dostających się naszym ziomkom w udziale, z powodu ustawicznych wojen z obcymi, i dość częstych domowych; a zdziwić się wypadnie nie pomału, dla czego tak mało mamy romansów, osnutych na tle własnem, z którego, zdawałoby się, same powinnyby wyrastać.

Niechaj uwagi pozostaną uwagami, a zapytanie zapytaniem — my w tem miejscu wolimy podać wydarzenie, które mogłoby komu posłużyć do napisania romansu, a przynajmniej powieści, a które tymczasem niechaj będzie skromnym najskromniejszym przypiskiem do ojczystych dziejów.

Uczynimy wzmiankę o Marku Jakimowskim, bo tylko wzmiankę o nim uczynić możem: — Gdzie się urodził i jak pierwszej młodości lata spędził? nie wiadomo nam. Wiemy tylko, że należał do niefortunnej — lecz bohatyrskim duchem tchnącej — wyprawy Stanisławn Żółkiewskiego na Multany w r. 1620, i, że w sam dzień śmierci hetmana pod Cecorą *) dostał się do niewoli tureckiej.

Był śp. Marek wówczas jeszcze młodym, czego dowodzi okoliczność zawartego póżniej małżeństwa między nim a młodą i bardzo piękną dziewicą. Pan Marek zeszedł na to, że stał się przedmiotem handlu swoich (wcale mu nie potrzebnych) panów, zaprzedawał go jeden drugiemu, aż nakoniec został własnością Kassymbeka, paszy Egiptu, wraz z którym, i niewolnikami innymi, los jego dzielącymi, Polakami, i innych narodowości ludźmi, w liczbie 200, przymuszony płynął z Carogrodu do Aleksandryi.

Niewolników los nie był jednakim — jedni, umieszczeni na pewnych galarach, byli skrępowani, drugim dozwalano ruchu, na pokładach innych okrętów. Do mniej nękanych należał Jakimowski. Ale nie sama, jaka taka wolność osobista, osładzała mu życie. Płynęła morzem, wraz z nim, pełna uroku dziewica *), której oblicze bez wątpienia natchnęło go nadzieją przyszłego szczęścia, nadzieją, która mu kazała odważyć się na wszystko dla zdobycia szczęścia.

Stało się, że nawałność morska zmusiła okręty do szukania przytułku w porcie Stretto, przy morzu jońskiem. Gdy zarzucono kotwice i część Turków wysiadła na ląd dla zaopatrzenia się w żywność, Jakimowski postanowił natychmiast odzyskać wolność.

U naszego ziomka zamysł zmienił się w czyn w mgnieniu oka: zwierza się więc Stefanowi Szatanowskiemu i Janowi Hołczynie, a gdy się na nich zawodzi, nie traci ani odwagi ani czasu, bieży do steru okrętowego, pokonywa opór mu stawiącego Turczyna, uzbraja się mieczem pokonanego, wpada do więzienia kilkunastu Polaków. Tych uwalnia i uzbraja pozbieraną po okręcie bronią. Pomagają mu do oswobodzenia innych więźniów. Turcy, zabawieni dotąd na lądzie, dowiedziawszy się o powstaniu niewolników, spieszą do swoich okrętów. Starcie się muzułmanów z chrześciańskimi powstańcami było krwawem. Pan Marek zagrzewa i braci po chrzcie, i braci po krwie, a tych najbardziej. Muzułmanie, acz liczbą przemagający, pokonani; jednych powrzucano do morza — a tych była większa liczba — innych (którzy broń złożyli i zdali się na łaskę) darowano życiem. Zwycięzcy spiesznie odbijają od brzegu.

Turcy strzelają za nimi z portu, mianowicie z tych okrętów, na których niewolnicy powstać niemogli. Te też puściły się wnet w pogoń za chrześcianami i ścigały ich przez 12 godzin, póki nowa, gwałtowniejsza jeszcze burza, nie zatamowała biegu prześladowców. Okropną ona była dla nich, ale nie dla Polaków, którzy śmierć w swobodzie przekładają nad największe niewolnego życia rozkosze. Galary tureckie musiały się wrócić do portu. Chrześcianski, przetrwawszy pod wodzą Jakimowskiego wszelkie niebezpieczeństwa, zawinął naprzód przy wyspie Zante, a po uśmierzonej burzy, okrążywszy brzegi Kalabryi i Sycylii, do Neapolu. Jak długo poczciwa nasza wiara bawiła w Neapolu, niewiadomo; tyle wiemy, że dnia 16go lutego 1621 r. stanęli nasi pielgrzymi w Rzymie, który ich radośnie powitał. Łatwo sobie nasze piękne czytelniczki wyobrażą, z jak radosnem biciem serca powitał nasz dzielny rodak, obok prześlicznej swojej Kasi, wieczne miasto, dla którego dawnej sławy i chrześciańskich świętości chrobrzy synowie Sarmacyi tyle i tak szczerej zawsze miewali i mają uległości, prawdziwie dziecięcej — nie obłudnej, wykrętnej i przesadnej.

Oswobodzeni z jarzma muzułmańskiego chrześcianie, odbyli za pozwoleniem Piusa IVtego uroczystą procesyę do kościoła ś. Hieronima, przy którym był wówczas szpital słowiański. Jeńców puścili na wolność, nawet od bogatszych nieżądając żadnego okupu — szczęśliwi, życzyli sobie widzieć tylko szczęśliwych. Ta jedna okoliczność dowodziłaby, że w gronie oswobodzonych chrześcian przemagali, jeżeli nie liczbą, to niezawodnie animuszem Polacy, że Polak, a nie kto inny był ich wodzem — ta okoliczność dowodziłaby tego, chociażby za tem nie mówiły, jak mówią, wyrażne świadectwa. Jakimowski, przedstawiony ojcu świętemu, ozdobion od niego *złotym krzyżem*, i na jego rozkaz wpisany w poczet kawalerów wymienionego orderu. Banderę zabranego okrętu tureckiego złożył bohatyr u stóp papieża, który ją kazał umieścić w kościele ś. Szczepana *Di Rotunda.*

Jeżeli dzielność pana Marka doznała zasłużonych względów stolicy chrześciańskiego świata, to i względni jego panny nie zawiodły się na względach stolicy Muz, stolicy ich dawnej, która się postarała o kilka egzemplarzy wizerunku niewypowiedzianie pięknej Kasi.

Ale, że dla poczciwych nie ma nic milszego nad ojczyste niebo i ziemię, więc ziomkowie nasi, a oczywiście na ich czele jp. Marek ze swoją jedyną puścili się czemprędzej w podróż do najmilszej Polski, i d. 8 1621 r. *) stanęli w Krakowie, gdzie ich tłumy życzliwego ludu otoczyły i na Skałkę, do kościoła ś. Stanisława, odprowadziły dla podziękowania Panu nad panami za tyle cudownie doznanej łaski, która im dozwoliła w przeciągu niespełna roku zażyć niemało przykrości i niezmiernego dosątpić szczęścia. Tutaj złożył jp. Marek drugą chorągiew, niegdyś osobistą własność muzułmańskiego dowódzcy okrętu. Kędy się nasz bohatyr później obracał, nie wiemy; nie wiadomo nam nawet, gdzie swoją Kasię poślubił, domyślamy się jednakże, że się to stało zapewne w Neapolu, równie jak i tego także domyślamy się tylko, że się z nią poznał jeszcze w niewoli. Niewiemy także, jak się pani Markowa z domu nazywała i jakiej była narodowości. Historykowi niezbronno szukać skrzętnie bliższych o Jakimowskich szczegółów, naśladując nieznużonego w śledzeniu i badaniu dziejów Karola Szajnochę. Romansopisarzowi zaś nie trudno będzie dotworzyć, czego mu do zupełności obrazu braknie, zwłaszcza, gdy ma tyle danych i miejsc i osób i okoliczności, z któremi się wiąże tyle, tak zajmujących i ważnych wypadków.

*) Cecora, osada w Besarabii, leży nad rzeką Prutem, naprzeciw Mołdawii tureckiej, ośm mil od miasta Jass, a 15 od Benderu. Klęska Stanisława Żółkiewskiego dla tego nazywa się cecorską, że w pustym na około kraju niemożna było innej wymienić osady. Walecznego hetmana przydybała śmierć w pobliżu Dniestru o milę od Mohilewa.

Mołdawią czyli Multany opisuje Krasicki w *Zbiorze potrzebniejszych wiadomości* (1781) tak: „kraj w Europie, hołdujący Turkom, graniczy z węgierskiem królestwem, Polską i Wołoszczyzną... Hospodar (dzierżawca bardziej turecki, niżli rządzca kraju) mieszka w Jasach, stółecznem mieście. Multany pospolicie Wołoszczyzną większą nazywają się“...

*) Na zdobytym przez Jakimowskiego okręcie było cztery wszystkich dziewic; Katarzyna celowała inne pięknością. Wiózł ją był Kassymbek jako osobliwość do Aleksandryi, gdzie ją miano na przedaż wystawić. Szacowano ją na 100 kies złota.

*) Za panowania Zygmunta IIIgo Wazy.

K. J. Turowski, Redaktor odpowiedzialny. — Nakład Redakcyi. — Druk „Czasu“. — Rządzca druk. Antoni Rother.